

GERDA WEISSMANN-KLEIN

WSZYSTKO ZA ŻYCIE

Tytuł oryginału

All but my life

Copyright © 1957, 1995 by Gerda Weissmann Klein

Published by arrangement with Farrar, Straus and Giroux

All rights reserved

Wydawnictwo Bez Fikcji

Oświęcim 2019

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Michał Swędrowski

Korekta:

Dariusz Marszałek

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Piotr Wszędyrówny

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-092-6

GERDA WEISSMANN-KLEIN

WSZYSTKO ZA ŻYCIE

Tłumaczenie
Mateusz Grzywa

OŚWIĘCIM 2019

Podziękowania

Przy okazji druku mojej książki chciałabym podzielić się radością i poczuciem spełnienia z wieloma przyjaciółmi, którzy mnie wspierali.

Z wyrazami szczególnej wdzięczności pragnę wymienić pana Sloana Wilsona, który spojrzał na wstępny szkic niniejszej książki, a jego zapał wlał we mnie odwagę, aby pokazać ją wydawcy.

Gorące podziękowania dla Sarah Stone, która przez trzy lata niezmordowanie przepisywała rękopis na maszynie, a także dla Irene Goldberg, Rity Scharf i Kate Sterman, którzy przy tym pomagały.

Przedmowa

Kończąc ostatni rozdział mojej książki, czuję wreszcie spokój. Zrzuciłam z barków ogromny ciężar i spłaciłam dług wobec wielu anonimowych bohaterów, którzy spoczywają w nieoznaczonych grobach. Gnębi mnie myśl, że może oprócz mnie nie został nikt, kto mógłby opowiedzieć ich historię.

Wiodąc nowe, szczęśliwe życie, zapisałam ostatnie zdanie przeszłości. Spisałam swoje losy, ze łzami i z miłością, w nadziei, że moje dzieci, które śpią bezpiecznie w kołyskach, pewnego dnia nie zbudzą się z koszmaru i nie przekonają się, że jest rzeczywistością.

Część pierwsza

Rozdział 1

Na zielonym dywanie salonu z mojego dzieciństwa leży zegarek. Wskazówki zamarły w bezruchu na 9.10, zamarły, gdy to się wydarzyło. Będzie tylko przeszłość, nadejście przyszłości jest niepewne, czas utknął w teraźniejszości. Poranek – 9.10. Tylko tyle potrafię pojąć. Wskazówki są okrutne. Powoli rozmazują się na tarczy zegarka.

Podnoszę wzrok na okno. Wszystko wygląda obco, jak we śnie. Na ulicy ryczy kilka motocykli. Kierowcy mają na sobie zielonoszare mundury, słyszę głosy. Najpierw kilka, potem wiele, wykrzykują coś niemożliwego i nierealnego. „Heil Hitler! Heil Hitler!”. A zegarek mówi 9.10. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że rozsunęła się niewidzialna kurtyna, a ja wkroczyłam na niewidzialną scenę, żeby odegrać rolę w trwającej sześć lat tragedii.

Był 3 września 1939 roku, niedzielny poranek. Spędziliśmy bezsenłą noc w wilgotnej, zimnej piwnicy naszego domu, na zewnątrz spadały pociski i bomby. W pewnym momencie, jeszcze wieczorem, gdy tata, mama i mój brat Artur, wtedy dziewiętnastoletni, kulili się w osłupiającej ciszy, z zewnątrz, z ogrodu, dobiegło miauczenie mojej kotki Schmutzi i Artur wyszedł, aby ją wpuścić. Wrócił z dziurą po kuli w spodniach.

– Kula?

– Ktoś strzela z dachów, Niemcy idą!

Potem, w szarzyźnie wczesnego ranka, usłyszeliśmy głośne pomruki wrogich czołgów. Nasi żołnierze wycofywali się znad granicy na Kraków, gdzie chcieli stawić opór. Mieli wymizowane, wymęczone i nieogolone twarze, w ich oczach widniały panika i klęska. Starli się z wrogiem, spróbowali i przegrali. Wszystko działo się tak szybko. Dwa dni wcześniej, w piątek rano, 1 września, brzęczenie mas niemieckich samolotów wy-

pędziło wszystkich mieszkańców naszego miasteczka na ulice. Radio huczało wieściami, że Niemcy przekroczyli naszą granicę pod Cieszynem i że toczymy wojnę! W pośpiechu wznieśliśmy blokady drogowe. Ludzi ogarnęła histeria i wielu opuściło miasto jeszcze tego samego dnia.

Nigdy nie uważałam Bielska, mojego rodzinnego miasta, za straszne. Zawsze było takie bezpieczne i stateczne. Przycupnięte u stóp Beskidów – wydawało się, że wysokie szczyty chronią spokojne, lśniące światłami miasteczko przed intruzami. Bielsko było uroczne i nie bez powodu nazywano je „Małym Wiedniem”. Przed 1919 rokiem leżało w granicach Austro-Węgier i nadal utrzymywał się w nim posmak tamtej epoki. Niemal wszyscy mieszkańcy posługiwali się dwoma językami, w sklepach rozmawiano po polsku i niemiecku. W samym środku miasta, pośród pieczołowicie wypielęgowanych kwietników, stał niewielki, ale znakomity teatr, a zaraz obok Schloss, czyli zamek Sułkowskich, szlachty blisko związanej z Habsburgami.

Odkąd pamiętałam, nic nie zakłócało spokoju Bielska. Dopiero teraz, gdy ujrzałam ludzi uciekających z miasta, zrozumiałam, jak blisko, jak niebezpiecznie blisko byliśmy czechosłowackiej granicy. Od Cieszyna dzieliło nas nieco ponad trzydzieści kilometrów.

Oczywiście, o wojnie mówiło się od wielu tygodni, lecz moją rodzinę od połowy sierpnia zajmowała choroba taty. Od początku czerwca do połowy sierpnia byliśmy z mamą w Krynicy, kurorcie górskim. Tata i Artur nie mogli nam towarzyszyć, a my wróciliśmy po telegramie od taty, że ze względu na powagę sytuacji międzynarodowej lepiej wracać do domu. Tata czekał na nas na dworcu, wstrząsnęło mną to, jak źle wyglądał. Doskwierało mu prawe ramię i zaniepokojona mama wezwała lekarza. Ten uznał, że tata przeszedł łagodny atak serca i kazał mu się natychmiast położyć do łóżka.

Nazajutrz wezwaliśmy do taty dwóch specjalistów. Tego samego dnia otrzymaliśmy depeszę od Leo, mieszkającego w Turcji brata mamy. Brzmiała tak: „Wybiła ostatnia godzina Polski. Niebezpiecznie dla Żydów. Wasze wizy czekają w ambasadzie w Warszawie. Namawiam, żebyście przyjechali bezzwłocznie”.

Mama włożyła depeszę do kieszeni fartucha i orzekła:

– Tata jest chory, to nasza główna troska.

Mieliśmy za wszelką cenę oszczędzać tacie nerwów i niepokojów, ostrzegaliśmy wszystkich gości, żeby nawet nie wspominali przy nim o możliwości wybuchu wojny. Mama nie zdawała sobie sprawy, jakiego losu moglibyśmy uniknąć, gdyby nie tała przed tatą prawdy. A jednak 1 września, w piątek rano, gdy na niebie zaryczały niemieckie samoloty, chorujący od dwóch tygodni tata stanął twarzą w twarz z rzeczywistością. To był dzień pełen napięcia. W większości spędziłam go w sypialni rodziców, instynktownie trzymając się jak najbliżej taty.

Pod koniec tego pierwszego dnia nikt nawet nie tknął kolacji, nikt nie miał ochoty iść spać. Mama usiadła na krześle obok łóżka taty, a my z Arturem wyglądaliśmy przez okno. Konie i wozy wyładowane uciekinierami nadal przetaczały się na wschód. Gdzieś w wieczorne niebo wystrzeliwała flara, jak krew strzykająca z rany, i nagle cała dolina była skąpana w groteskowej czerwieni. Patrzyłam na rodziców. Tata wyglądał dziwnie, niemal bez życia. Żółte kwiaty na czarnej podomce mamy zdawały się płonąć. Na zewnątrz szczyty górskie rozbłysły na chwilę, a potem rozbrzmiały ogłuszającym hukiem, przez który szyby w oknach zagrzechotały jak zęby kościotrupa. Wszystko płonęło. Ponownie spojrzałam na mamę. Miękkie, pofalowane, ciemnogrnatowe włosy przykleiły się jej do twarzy. Jej wielkie, ciemne oczy wyglądały na tle białej skóry jak sadzawki bez dna. Ruchliwe usta były zastygłe i obce. Na naszych twarzach odbijał się czerwony blask. Jej wyglądała przez to nieznajomo. Oto mama, płonąca dziwnym ogniem zniszczenia, a na ulicy konie

i wozy, furmanki i rowery sunęły w nieznane. Pewien mężczyzna niósł na plecach kozę, zapewne swoje jedyne mienie. Na rogu kilka kobiet tuliło do piersi niemowlęta, a obok jakaś stara chłopka robiła znak krzyża. Wydawało się, że w tym osobliwym, czerwonym świetle świat dobiegł końca. A potem niespodziewanie tata odezwał się do mnie:

– Idź, obdzwon rodzinę, zobacz, co robią.

Zesłam po schodach. Usiadłam przy aparacie z długą listą numerów w ręce. Zaczęłam od góry i systematycznie wykręcałam jeden po drugim, ale nikt nie odbierał. Telefony dzwoniły i dzwoniły. Wyobraziłam sobie, że w domach, które tak dobrze znałam, z każdym dzwonkiem jakiś znajomy przedmiot albo mebel przewraca się na podłogę.

Spanikowałam. Miałam wrażenie, że zostaliśmy sami w świecie umarłych. Wróciłam na górę. Rodzice i Artur najwyraźniej o czymś rozmawiali. Nagle przerwali.

– Nikt nie odbiera, prawda? – zapytał tata. Nie mogłam mówić. Skinęłam głową. Nie było sensu dłużej udawać. Tata pokazał, że-bym usiadła na jego łóżku. Objął mnie lewym ramieniem.

– Dzieci – powiedział – liczyłem, że nigdy nie będę musiał o tym mówić, ale nadszedł czas, w którym muszę. Pamiętam, jakby to było wczoraj, krzyki rannych i blade oblicza ofiar zeszej wojny. Nie sądziłem, że świat ponownie do tego dopuści. Wierzyłyście, że zawsze znajdę właściwe rozwiązanie na wszystko. A jednak was zawiodłem. Uważam, że powinniście jechać. Mama właśnie mi powiedziała, że państwo Ebersohnowie pytali, czy nie zabrać was ze sobą, szukać schronienia w głębi Polski. Teraz, gdy najbardziej potrzebujecie mojej siły, jestem chory. Chcę, żebyście pojechały. Rozkazuję wam jechać! – Jego głos przybrał władczy ton, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałam. Zauważyłam, jak Artur, na dźwięk nazwiska jego sympatii, podnosi oszołomiony wzrok. Był podobny do mamy, jeszcze bardziej niż zwykle, a jednak gdy wstał – wysoki, prosty, zdeterminowany – z jakiegoś powodu przypominał mi tatę.

– Nie! Zostaniemy razem – odparł niemal bez wahania.

Rodzice spojrzeli po sobie. Wydawało mi się, że ujrzałam w ich oczach ulgę i dumę.

– Miałem nadzieję, że tak powiesz – rzekł tata łamiącym się głosem – nie ze względu na mnie, ale dlatego, że nie chcę wypędzać dzieci ku nieznanemu. Wierzę, że Bóg pozwoli nam zostać razem, pod własnym dachem.

Wycieńczony opadł na poduszki. Był to dla niego zbyt wielki wysiłek, pokój zawisł w bezruchu i ciszy. To dziwne, lecz wszystkie hałasy na zewnątrz również ucichły, a my zauważyliśmy, że niebo nie jest już czerwone.

Gdy obudziłam się nazajutrz, wszystko było spokojne, jak zwykle. Mój pokój oświetlało jasne słońce. Jesienne kwiaty w naszym ogrodzie znajdowały się w pełnym rozkwicie. Drzewa ugiwały się pod ciężarem owoców. W moim pokoju wszystko było po staremu i co więcej, nawet tata wstał z łóżka. Trzymał rękę na temblaku, ale wstał, i było to tak cudowne, że nabrałam pewności, że cały poprzedni wieczór to tylko koszmar. Nie, nie do końca, bo na twarzach rodziców odczytałam coś, czego wczoraj w nich nie było.

Gdy spotkaliśmy się na dole przy śniadaniu, wszyscy zdawali się weseli. Tata żartował. Mama włączyła się w pozornie beztroskie przekomarzania. Nasza służąca odeszła, aby być z krewnymi. Tata zapytał żartobliwie, czy nie chciałabym jej pracy. Nikt nie wspominał o wojnie. Poszłam włączyć radio. Rozległo się głośnie trzaśnięcie, ale poza tym milczało. Sprawdziłam telefon, sprawdziłam światła, ale prądu nigdzie nie było. W pewnym sensie to dobrze. Nie mieliśmy kontaktu ze światem zewnętrznym. To była cudowna, spokojna sobota. Lecz wieczór przyniósł furję, która zakończyła nasz ostatni spokojny dzień. Z dachów zaczęły padać sporadyczne strzały, próbowano opóźnić nieprzyjaciela, gdy nasza armia cofała się na Kraków. Szukaliśmy

schronienia w piwnicy i przesiedzieliśmy w niej całą noc. Nad ranem strzały całkiem ucichły, z ulic zniknęły pojazdy polskich wojsk. Wyszliśmy do salonu na filiżankę herbaty. Usiadłam na kanapie niedaleko okna i widziałam na zewnątrz ludzi w ewidentnie wesołych, radosnych nastrojach. Rozmawiali i śmiali się, trzymali kwiaty, wszędzie pstrykały aparaty fotograficzne.

– Mamo, popatrz – zawołał Artur. – Myślisz, że...? – Przerwał w pół zdania, nie ośmielił się wyrzec na głos nieprawdopodobnego.

– Nie – odparła mama i wtedy Artur wyjął z kieszeni zegarek. W spokój naszego domu wdarł się ryk motocyklu, zegarek upadł na podłogę. Była 9.10.

Wyjrzałam ponownie. Na domu naprzeciwko powiewała swastyka. Mój Boże! Chyba byli przygotowani. Wszyscy oprócz nas wiedzieli.

Po drugiej stronie ulicy zaparkowała ciężarówka wypełniona niemieckimi żołnierzami. Nasi sąsiedzi częstowali ich winem i ciastami, i wołali upojeni radością: „Heil Hitler! Niech nam żyje Führer! Dziękujemy wam za wyzwolenie!”.

Nie rozumiałam. Nie potrafiłam pojąć, co się działo. Co ci ludzie wyrabiali? Przecież znałam ich całe życie. Zdradzili nas.

Poranna herbata wystygła na stole. Mama i tata wbili spojrzenia w ziemię. Ich twarze straciły wyraz. Tata wyglądał staro, jakby poszarzał. Ogromnie się zmienił.

Poczułam, że coś się pali. Rozgrzana bryłka węgla wypadła z wielkiego, zielonego pieca kaflowego na dywan. Pamiętałam, że rok czy dwa wcześniej stało się coś podobnego i mama była bardzo niezadowolona. Obróciła wtedy dywan, żeby przypalone miejsce znalazło się pod kanapą. Chciałam krzyknąć i ostrzec rodziców, ale gdy zauważyłam, jak wpatrują się w ten węgielek, głos uwiązł mi w gardle. Widzieli, że dywan się tli, ale jakby ich to nie obchodziło. Tata w końcu wstał i niedbale butem przesunął bryłkę z powrotem do paleniska. Nikt się nie odezwał.

Wyrzałam przez okno i zobaczyłam Trude, dziewczynkę, którą znałam od małego. Mieszkała z babcią w dwupokojowym mieszkaniu w naszej piwnicy; nie płaciły czynszu, a w zamian prały. Teraz patrzyłam, jak wynosi kwiaty z naszego ogrodu, białe róże, z których byliśmy bardzo dumni, bo zakwitły poza sezonem. Wręczyła je żołnierzowi, łamiąc sobie język obcym jej niemieckim: „Heil Hitler!”. Żołnierz wyciągnął po nie ręce, ale ktoś zaproponował mu sznapsa. Wybrał kieliszek i kwiaty spadły na zakurzoną drogę, gdzie stratowały je żołnierskie buciorry. Zaczęłam szlochać, płakać, w jednym wybuchu dałam upust wszystkim emocjom i lękom. Artur przyskoczył do mnie i zasłonił mi usta dłonią.

– Oszalałaś? Chcesz nas wydać?

Ale ja go nie słyszałam. Łzy przynosiły ulgę. W końcu mnie spoliczkował.

– Pomyśl o życiu taty. Jak usłyszą twój płacz...

Nie potrafiłam przestać. Ściągnął mnie z kanapy, pociągnął przez dywan i dalej na górę, mama zasłaniała mi usta. Położyli mnie do łóżka, gdzie płakałam w poduszkę, aż w końcu opadłam z sił i zasnęłam.

Wczesnym popołudniem pijany, rozradowany motłoch nadal świętował „wyzwolenie” i skandował ochryple „Heil Hitler!” Rodzice się uśmiechali. Ich uśmiechy sprawiały mi większy ból niż mój płacz i łzy. Wtedy nauczyłam się, że nie mogę płakać zawsze, gdy mam na to ochotę. Zrozumiałam, że staliśmy się wyrzutkami, obcymi we własnym domu, że znaleźliśmy się na łasce ludzi, którzy dotąd byli naszymi przyjaciółmi. Choć miałam tylko piętnaście lat, nabrałam silnego przeświadczenia, bardziej przeczucia niż faktycznej świadomości, że nasze życia już do nas nie należą, że znalazły się w rękach śmiertelnego wroga.

Mama, nawet tej pamiętnej niedzieli, próbowała utrzymać normalny rytm naszego życia. Przygotowała kolację i jak zawsze zasiedliśmy do stołu, ale nikt nie był w stanie jeść, a gdy odnie-

śliśmy talerze, siedzieliśmy w milczeniu. Artur przyniósł książki o wojnie 1914 roku i szukał informacji o jej przebiegu, ale tata powiedział:

– To inna wojna. Ta na pewno nie będzie trwać cztery lata. Cztery tygodnie, najwyżej cztery miesiące.

Wczesnym wieczorem, gdy wrzaski pijanej tłuszczy ucichły, rozległo się pukanie do drzwi i szept: „Pani Weissmann”. Przyszła nasza sąsiadka, pani Bergmann, matka mojej przyjaciółki Escii. Cała biała i roztrzęsiona przekazała nam wieści, że po południu wyłapano na ulicach kilku Żydów, zamknięto ich w świątyni, a świątynię podpalamo.

– Mężczyźni niech lepiej się nie pokazują – wyszeptała.

Tata i Artur spojrzeli po sobie. Mama otworzyła szeroko oczy i zacisnęła usta. Lecz pani Bergmann powiedziała nam też, że rano Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę. Posiedziała u nas tylko kilka minut. Gdy wstała, aby wyjść, mama odprowadziła ją do drzwi, a ja poszłam za nimi. Zanim otworzyły, obie chwilę nasłuchiwały, w końcu pani Bergmann przekreśliła gałkę, rozejrzała po ulicy i wyslizgnęła się przez wąską szparę.

Siedzieliśmy w ciszy jeszcze jakiś czas, nikt nie chciał iść do łóżka. Pierwszy raz w życiu widziałam mamę wieczorem bez robótek ręcznych w dłoniach. Po prostu siedziała i patrzyła w ogień. Po chwili wstała, na zewnątrz spokojna i majestatyczna, i rzekła:

– Idźcie do łóżek, dzieci. Wszyscy potrzebujemy wypoczynku i siły.

Jej słowa zwieńczyły pierwszy dzień pod niemiecką władzą.

Następnego ranka siedziałam z mamą w kuchni, gdy przyszła jedna z sąsiadek, pani Rösche, z drugą kobietą, i zapytała o naszą flagę Polski.

– Flagę? – zaciekała się mama. – A po co?

– Żeby zrobić z niej niemiecką. To bardzo proste. Czerwony pas zostawia się jak jest, w białym wycina koło i naszywa na nie czarną swastykę.

Mama pobladła. Z początku szukała flagi w miejscach, w których na pewno jej nie było. Jednak wiedziała, że będzie musiała oddać ją prędzej czy później, więc w końcu ją przyniosła. Pani Rösche zapytała, czy mama ma czarną wstążkę. Odparła, że nie. Ta druga sąsiadka wyjęła kawałek. Powiedziała, że to bardzo porządna wstążka – że wytrzyma długie lata!

Obie sąsiadki spędziły cały ranek na szyciu nazistowskiej flagi na nasz budynek. Do dziś nie wiem, po co to robiły. Może myślały, że jeśli jej nie wywiesimy, to ściągniemy na siebie kłopoty.

Kiedy skończyły, zapytały:

– A gdzie Artur? Jest wysoki i silny. Mógłby ją powiesić.

Mama kazała mi go zawołać. Znalazłam go w jego pokoju, leżał osowiały, w apatii. Gdy powiedziałam, czego od niego chcę, krzyknął:

– Wszyscy postradaliście rozumu? Nigdy! Nigdy! Nie zrobię tego. Powiedz im, że mnie nie ma, powiedz, że umarłem, powiedz cokolwiek!

Więc pani Rösche i ta druga kobieta z wysiłkiem zamocowały flagę w niewielkim otworze w dachu. Całymi dniami nie potrafiłam się zmusić, aby wyjrzeć przez okno, a gdy w końcu to zrobiłam, ujrzałam krwistoczerwony symbol ogarniającej nas tragedii.

Rozdział 2

Podbicie Polski zajęło Niemcom osiemnaście dni, osiemnaście krótkich dni. Nadzieje, że nasze wojska odrzucą wroga, zniknęły. Upadł Kraków, później Warszawa, a Niemcy nacierali dalej, nie napotykając oporu. Czekaliśmy już tylko na wyzwolenie przez Francję, Rosję lub, na co liczyli tylko najwięksi optymiści, Anglię albo Amerykę. Krążyło wiele opowieści o nazistowskiej brutalności na wschodzie. Niektórzy Żydzi wracali z zajętych przez nich terenów. Po tym, co tam widzieli, uznawali, że bezpieczniej jednak wrócić do domów. Część zastawała je opustoszałe, większość cennych rzeczy zniknęła. Inni odkrywali, że ich domy zajęły dawne pokojówki, które teraz łaskawie pozwalały właścicielom spędzić noc lub dwie na poddaszu albo w piwnicy, może nawet zabrać jakieś ubrania, a później ich przepędzały.

My mogliśmy zostać w naszym wygodnym domu, więc przynajmniej na razie nie musieliśmy martwić się o schronienie. Dla taty kolejny powód do trosk stanowiły jego interesy. Był współwłaścicielem zakładu produkującego futra. Często wspominał, że chciałby udać się do fabryki i zobaczyć, co się z nią dzieje, ale podobnie jak my wiedział, że byłoby to zbyt niebezpieczne. Słyszeliśmy historie o ludziach, którzy wychodzili sprawdzić, co z ich zakładami lub sklepami, a na miejscu zastawali Gestapo albo SS. I już nie wracali. Bielsko było przede wszystkim ośrodkiem włókienniczym, a znakomite tkaniny zapewniły mu międzynarodową reputację. Dzięki licznym, wykwalifikowanym robotnikom standard życia był tam wyższy niż w niemal wszystkich innych zakątkach Polski. Wypełnione tkaninami magazyny były rozsiane po całym mieście. Za Wehrmachtem przyszli niemieccy urzędnicy i wszystko zarekwirowali.

Mieszkaliśmy na obrzeżach Bielska w dużym, wygodnym, ponad stuletnim domu. Choć dziadkowie po ślubie unowocześnili piętro, w suficie kuchni nadal widniały odkryte belki, stało w niej wielkie palenisko, betonowe frontowe schody były spękane, okna zamykały się na staromodne rygle, a zamiast centralnego ogrzewania we wszystkich pokojach stały wysokie kaflowe piece. Kochałam ten dom, bo miał wiele tajemniczych zakamarków, zimne klepisko w piwnicy (udawałam, że piwnica to lochy), zabałaganiowany strych, po którym hulał wiatr, i najlepsze, czyli rozległy ogród z sadem. Częściowo ciągnął się wzdłuż ściany domu i krawędzi dziedzina, gdzie stało kilka szop, w których trzymaliśmy drewno i kurczaki. Jednak prawdziwy ogród mieścił się za domem – na skarpie, bo całe Bielsko było rozrzucone na przedgórzu Beskidów. W naszym ogrodzie rośło dobrze ponad sto drzew owocowych, niektóre bardzo wiekowe, i niezliczone jagodziny, stała w nim obrośnięta liliami altana. Granicą ogrodu płynął wąziutki strumyk. Znałam i kochałam ten dom przez całe życie.

Wszystkim mieszkańcom kazali zarejestrować się na policji, a niedługo później Żydzi otrzymali zawiadomienia, że mają oddać całe złoto, samochody, rowery, odbiorniki radiowe, a nawet wieczne pióra. Z początku nie przywiązywaliśmy do tego wielkiej wagi, bo nadal mogliśmy mieszkać we własnym domu, ale wkrótce życie zaczęło robić się coraz trudniejsze. Jedno z nas zawsze czuwało przy oknie, a gdy przed domem zatrzymywał się samochód lub do drzwi zbliżał się budzący grozę zielony mundur, tata i Artur chowali się w szafie.

Początkowo nie chcieli dać się zastraszać. Tata bez przerwy protestował: „Nikommu nic nie zrobiłem. Nie boję się”.

Ale mama rzucała mu tylko wymowne spojrzenie, i to wystarczyło. Cekał w kryjówce, dopóki nie dawaliśmy znaku, że zagrożenie minęło. Słyszeliśmy o wielu przypadkach, że niemieccy żołnierze wchodzili do domu o coś wypytać, a gdy tylko drzwi otwierał mężczyzna, zabierali go ze sobą. Zwykle słuch o nim gi-

nał. Rzadko udawało nam się zjeść posiłek bez jakichś zakłóceń. Zrobiliśmy się nerwowi. Nauczyliśmy się z daleka odróżniać odgłosy znienawidzonych buciorów.

Jakoś na początku listopada rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Nie złowrogie dudnienie Gestapo, lecz niepewny, jakby zmęczony sygnał. To dziwne, jak wiele może wyrazić pukanie, jeśli dobrze się wsłuchać. Przyszła siostra mojego ojca Anna z córką Miriam, która była w moim wieku.

Ciotka objęła ojca i zawołała:

– Bracie, bracie, dziękuję Bogu, że cię dla mnie uchował. Zostałam sama.

Szlochając, opowiedziała nam swoją tragiczną historię. Dwa dni przed wejściem Niemców do Bielska wraz z mężem i dwójką dzieci wsiadła do pociągu, próbując dostać się do Warszawy. Pociąg był atakowany dzień i noc. Mówiła, że gdy w lokomotywie zabrakło wody, pasażerowie stworzyli ludzki łańcuch i podawali kubki, butelki i wiadra, a naokoło leżeli martwi i konający. Nocami kulili się pod siedzeniami, nad ich głowami świstały bomby i kule. Podczas jednego z takich ataków ciotka Anna omdlała, więc jej mąż poszedł zdobyć trochę wody, żeby ją ocucić. Gdy się oddalił, spadła bomba. Kiedy ciotka oprzytomniała, ktoś powiedział jej, że został rozerwany na strzępy. Nie wrócił. Niemcy w końcu trafili lokomotywę i pociąg stanął na dobre. Ciotka Anna z dziećmi wysiadła i ruszyli pieszo na wschód. Wspominała, że była to upalna, wyczerpująca noc. Księżyc jasno świecił, widzieli całe tysiące spadających gwiazd, a przynajmniej tak sądzili. Wraz z innymi, którzy im towarzyszyli, wzięli to za dobry omen i szli dalej, przez niewielką piaszczystą pustynię pod Kielcami. Nocą maszerowali wytrwale ku lasom, licząc, że wybawią ich od upału, lecz wpadli na zwartą linię niemieckich karabinów i żołnierzy. Okazało się, że wzięli niemieckich spadochroniarzy za spadające gwiazdy. Wtedy po raz pierwszy poznali na własnej skórze nazistowskie metody. Niemcy najpierw oddzielili

mężczyzn od kobiet. Ciotka Anna tuż po stracie męża musiała patrzeć, jak zabierają jej dwunastoletniego syna. Ustawili mężczyzn w szeregu i rozstrzelali co dziesiątego. Pozostałych poprowadzili w stronę lasu. Ciotka pobiegła na miejsce masakry poszukać syna. Kilka serii z karabinów maszynowych uciszyło jęki i zawodzenia agonii, gorący wiatr poniosł echo kroków odchodzącej niemieckiej kolumny.

Wkrótce została już tylko cisza, przerywał ją cichy płacz piętnastoletniej Miriam.

– Mamo, ale ja chcę żyć.

Pieszko, konno, wozem i samochodem udało im się wrócić do Bielska. Ciotka Anna poszła najpierw do własnego domu, ale już zamieszkała w nim niemiecka rodzina. Obeszła domy przyjaciół i krewnych, ale wszystkie stały puste. Nie ośmielała się wierzyć, że my będziemy u siebie. Odnalezienie ojca wlało w nią nową nadzieję. Nie licząc ubrań, które miały na sobie w ucieczce, nie miały żadnej odzieży. Nie miały jedzenia ani pieniędzy. Straciły wszystko. Oczywiście u nas zostały.

Następnego dnia usłyszeliśmy kolejne niepewne pukanie do drzwi. Gdy ciotka Anna ujrzała w progu syna, wprost nie mogła uwierzyć! To było wręcz niemożliwe. Człowiek rzadko zaznaje w swym zwykłym życiu takiego szczęścia. Tak, to naprawdę był Dawid, wybidzony i głodny, ale żywy. Opowiedział nam swoją część historii. Gdy zabrali go do lasu, jego grupa natknęła się na ukrywający się tam oddziałek polskich żołnierzy. Podczas chaotycznej strzelaniny wdrapał się na drzewo i siedział tam, dopóki Niemcy nie poprowadzili reszty więźniów głębiej w las. Niedługo później niezliczone strzały zabrały życie wielu ludziom. Dawid czekał na swej zamaskowanej grzędzie do zmroku, a potem ruszył w drogę powrotną. Szedł głównie nocami, za dnia odpoczywał lub spał pośród drzew albo w stodołach, aż w końcu dotarł do domu.

Dni mijały jak sen, jak choroba bez nadziei na ozdrowienie. Żyliśmy z dnia na dzień, szczęśliwi po każdej nocy, w której u drzwi nie staęło Gestapo.

Artur bardzo się zmienił. Stał się niespokojny i drażliwy. Książki, które normalnie zajmowały mu całe dnie i noce, leżały nietknięte. Nie wychodził z pokoju. Nie golił się. Nie przebierał. Prawie nie jadł i wątpię, czy spał.

Pewnego ranka, jakieś sześć tygodni po wybuchu wojny, Artur ogłosił przy śniadaniu, że chce iść do centrum miasta. Wszyscy wiedzieliśmy, że to groźna wycieczka. Rodzice rozumieli, że chciał sprawdzić czy Gisa, jego sympatia, wróciła ze środkowej Polski, dokąd w dniu inwazji uciekła z rodzicami. Nie sprzeciwili się, powiedzieli, żeby sam decydował. Ogolił się i poszedł. Powiedział tylko:

– Idę.

Rodzice patrzyli zza zasłon, jak odchodził ulicą. Kiedy miał niemieckiego żołnierza, zadrżeli i złapali się za ręce. A gdy żołnierz nie zwrócił na niego uwagi, odetchnęli z ulgą. Czekaliśmy niecierpliwie, zastanawialiśmy się, kiedy Arthur wróci, braliśmy pod uwagę, że Gisa może rzeczywiście wróciła, więc nie będzie go dłużej. Podczas tego niekończącego się czekania dwa razy widziałam, jak tata połyka pigułki. Mama bez zapału zajmowała się obowiązkami domowymi. Nie rozmawialiśmy o Arturze ani o jego misji, lecz byliśmy boleśnie świadomi, że każda minuta może przynieść mu tragedię.

Gdy już wydawało się, że minęła cała wieczność, w końcu go ujrzeliśmy, zmierzał nieśpiesznie w stronę domu. Bez słowa poszedł do swojego pokoju.

Zajrzałam do niego po kilku minutach. Na nocnym stoliczku stało zdjęcie Gisy. Była śliczną dziewczyną, miała wielkie ciemne oczy i blond włosy. Uśmiechała się z tego zdjęcia, ale gdy przyjrzałam się dokładniej, jej uśmiech nagle wydał mi się smutny.

Nauczyłam się już, aby nie zadawać pytań, stałam więc cicho i czekałam, aż Artur sam się odezwie.

– Przed jej domem leży martwy pies.

– Rolf? – zapytałam.

Skinął głowę.

– Zastanawiam się – rzekł po chwili – czy zdechł z głodu, zabili go, czy ruszył za Gisą i jej rodziną, zgubił ich w drodze i wrócił tu zdechnąć.